

Apolinary Oliwa

Gdy poświęcano noże. Tragedia Wołynia

Już bez cenzury – wspomnienia powojenne



Opole
Wydawnictwo Nowik Sp.j.
2013

Od Wydawcy

Kompozycja tej nietypowej książki być może zdziwi niejednego czytelnika – decydowała o niej historia i te transformacje, które pozwoliły na ujawnienie prawdy o wielu wydarzeniach dotąd całkowicie lub częściowo skazanych na zapomnienie.

Należy tu dodać, że wielu młodszych Czytelników nie pamięta, lub nawet nie wie, że jeszcze nie tak dawno istniała cenzura, czyli nadzór władz nad informacjami. A więc nad prasą, publikacjami naukowymi i kulturalnymi, a także widowiskami. Trwało to w Polsce Ludowej od 1944 do 1990 roku. Nie ulega wątpliwości, że wszelkie zakazy musiały się łączyć z sugestią, jak przedstawiać określone zjawiska dziejowe, jaką przyjąć interpretację problematyki trudnej i długo „niewygodnej” politycznie. Lektura prezentowanej książki na pewno budzi właśnie i takie refleksje.

W Opolu, w 1973 roku, ukazuje się książka Apolinarego Oliwy *Gdy poświęcano noże*. Edytorem jest Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, również wydawca „Kalendarza Opolskiego”. Wspomnienia komendanta samoobrony Rafałówki, wyróżnionego za odwagę i męstwo uczestnika walk z ukraińskimi nacjonalistami, kończą sceny z 1944 roku – wymarsz na front, w kierunku Lublina, aura radości i optymizmu. Wcześniej jeszcze spotyka generała Świerczewskiego, „wielkiego wodza”, którego „słowa porywały i wzruszały” – należy wątpić, czy napisanie tych wyrazów zachwyty i szacunku wynikało z własnej inicjatywy autora... Bystry i łatwo zdobywający orientację Apolinary Oliwa pewnie dość wcześnie już mógł się dowiedzieć, kim w istocie był generał.

Należy sądzić, że niejedno w ówczesnej sytuacji politycznej mogło go prawdziwie niepokoić. W książce Apolinarego Oliwy może zastanawiać także brak choćby wzmianek (cenzura!) o czasach okupacji sowieckiej, bo przecież wojenna gehenna wołyńskich Polaków zaczęła się o wiele wcześniej: deportacje, aresztowania, stała groźba represji NKWD, bezwzględna akcja depolonizacji. Aby obraz tragicznej, powikłanej historii tych czasów stał się dla Czytelnika pełniejszy, bardziej zrozumiały, Wydawnictwo zwróciło się do Pani Ewy Siemaszko z prośbą o napisanie wstępu – jesteśmy dumni, że możemy przedstawić Państwu komentarz tej cenionej badaczki, autorki (wraz z ojcem Władysławem) monumentalnego dzieła *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*, uhonorowanej Nagrodą im. Józefa Mackiewicza oraz Nagrodą Kustosza Pamięci Narodowej.

Czytelnik wydanych w 1973 roku wspomnień z pewnością zastanawiał się, jakie były dalsze losy autora, co wydarzyło się w jego życiu po 1944 roku. Dzięki Dzieciom Autora, Romualdzie i Janowi, trafiają do nas notatki, nieznane nam dotąd relacje (część publikowano w lokalnej gazecie, w „Kurierze Brzeskim”) – wyłania się z nich prawda o podstępym aresztowaniu Apolinarego Oliwy, o torturach, stale towarzyszącej groźbie śmierci, był bowiem żołnierzem AK. Niepewność losów własnych i swojej rodziny, a potem trwające całe lata prześladowania, nieufność władz – raz jeszcze krzywda, raz jeszcze mroczne oblicze historii. Zestawienie treści książki Oliwy, tej wydanej w 1973 roku, z późniejszymi wspomnieniami tworzy szczególny dokument: zbrodni dokonanych na Wołyniu przez nacjonalistów ukraińskich – i, także pełnych okrucieństwa, czasów „budowania zrębów socjalizmu” w Polsce.

Zbrodnie ludobójstwa na Wołyniu w czasie II wojny światowej

Niewielka kolonia Rafałówka, z którą związane są wspomnienia autora, znajdowała się w powiecie łuckim województwa wołyńskiego (w skrócie: na Wołyniu), w II Rzeczypospolitej Polskiej. Podobnych polskich kolonii na Wołyniu było do 1943 r. około 1100, obecnie nie ma ani jednej. W 1939 r. Wołyń zamieszkiwało 346,6 tys. Polaków, po II wojnie światowej, gdy Wołyń przypadł Związkowi Sowieckiemu, pozostało tam ledwie 3896 Polaków. Po rozpadzie Związku Sowieckiego, od 1991 r., Wołyń jest w granicach Ukrainy.

Zagłada polskości na Wołyniu dokonana została stopniowo podczas II wojny światowej. Pierwszy etap depolonizacji był przeprowadzany podczas okupacji sowieckiej trwającej od 17 września 1939 r. do końca czerwca 1941 r. Represjami były objęte grupy społeczne i jednostki utożsamiane z państwem polskim (policjanci, urzędnicy, funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości itp.), szczególnie aktywne gospodarczo (ziemieństwo, przedsiębiorcy, bankowcy, handlowcy), społecznie, kulturalnie, a także związane z obronnością kraju (żołnierze, działacze organizacji paramilitarnych) i znane z patriotycznych postaw. Do aresztowań Polaków o wymienionych cechach NKWD przystąpiło już w pierwszych dniach po agresji sowieckiej we wrześniu 1939 r., eliminując najbardziej znane, zasłużone i wyróżniające się osoby. W następnej kolejności tropiono osoby podejrzane o organizowanie oporu, tworzenie konspiracji niepodległościowej i objawiające negatywny stosunek do Związku Sowieckiego. Aresztowani, w zależności od ciężkości zarzutów, albo otrzymywali karę śmierci, albo, po dłuższym przetrzymywaniu w więzieniu, byli zsyłani w głąb Związku Sowieckiego do tzw. poprawczych obozów pracy, zwanych potocznie łagami.

Nieprzypadkowo aresztowany został wówczas teść autora wspomnień Dionizy Oliwa – jako wieloletni wójt, piłsudczyk, działacz Związku Strzeleckiego, mający w swym środowisku autorytet. Jego los, jak wielu tysięcy Polaków aresztowanych przez NKWD w tym czasie, nie został wyjaśniony, a miejsce pochówku nieznane.

Znacznie efektywniejszą sowiecką metodą depolonizacji Wołynia były deportacje ogromnych grup ludności do północnych rejonów Związku Sowieckiego oraz do Kazachstanu. Wołyń był dotknięty czterema deporta-

cjami: 10 lutego 1940, 13 kwietnia 1940, 29 czerwca 1940 i 22–24 maja 1941, przy czym pierwsza, całkowicie zaskakująca Polaków, najliczniejsza, objęła w całości rodziny osadników wojskowych, a więc osób, które walczyły w przegranej przez „Sowiety” wojnie polsko-bolszewickiej 1920 i za zasługi dla niepodległości Polski otrzymały nadania ziemi oraz służbę leśną wszystkich szczebli. Efekt psychologiczny pierwszej deportacji był ogromny: całe polskie społeczeństwo ogarnął strach i niepewność jutra – oczekując, że podobny los spotka osadników i leśników, przygotowywano się, kompletując ekwipunek i zapasy żywności na ewentualną zsyłkę. Kolejne deportacje dotyczyły rodzin wcześniej aresztowanych z różnych powodów oraz rodzin policjantów, wojskowych, urzędników, służby więziennej, ziemian, bogatych chłopów, przemysłowców, kupców, działaczy społecznych. Represje te spowodowały ubytek ludności polskiej w liczbie 45 tys., jakościowo bardzo istotny, bowiem obejmujący szczególnie wartościowe segmenty społeczeństwa, będące nośnikami etosu polskiego i objawiające dużą aktywność na różnych polach życia społecznego.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 r. i zwycięski pochód armii hitlerowskiej na Wschód przerwał dokonywane przez Sowieców odpolszczanie Wołynia, lecz nowa okupacja Kresów, niemiecka, stanowiła dalszy ciąg eksterminacji narodu polskiego, łączący się z innymi okolicznościami. Oprócz represyjnych porządków niemieckich (np. ściąganie kontyngentów i inne świadczenia materialne, obowiązek pracy i wywożenie na przymusowe roboty do Rzeszy, zakaz nauczania w języku polskim i stopniowa likwidacja szkolnictwa w ogóle, zakaz stowarzyszania się, pacyfikacje za niesubordynację, aresztowania), poważnym zagrożeniem dla Polaków okazał się zaaktywizowany antypolski ruch nacjonalistyczny. Działająca nielegalnie od początku lat 30. w II RP Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) postawiła sobie za cel wywalczenie niepodległego państwa ukraińskiego „tylko dla Ukraińców” drogą biologicznej eksterminacji Polaków, uznanych za największych wrogów, oraz innych nieukraińskich narodowości. Sprzyjające warunki do realizacji takiego planu OUN pojawiły się właśnie podczas okupacji niemieckiej, gdy Niemcy toczyły wojnę ze Związkiem Sowieckim.

Początkowo nacjonałiści ukraińscy związani z Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) wykorzystali do tępienia Polaków kolaboracyjną policję ukraińską, która jednocześnie służyła Niemcom i realizowała program OUN, przeprowadzając na dużą skalę rewizje w poszukiwaniu broni i usiłując wykryć polskie organizacje, pod różnymi pretekstami aresztując głównie młodych ludzi, wtrącając ich do więzień, bijąc, a nawet zakatowując na śmierć, a także składając Niemcom różnego typu donosy na Pola-

ków, w większości fałszywe. W tych okolicznościach ludność polska znalazła się w kleszczach dwu wrogów – okupanta i nacjonalistów ukraińskich.

W II połowie 1942 r. OUN rozpoczęła organizowanie oddziałów partyzanckich, które w późniejszym czasie zostały nazwane Ukraińską Powstańczą Armią (UPA).

Wzbudzające zaniepokojenie napady nacjonalistów ukraińskich na Polaków zaczęły się w 1942 r. Początkowo mordowane były pojedyncze osoby i rodziny. Od lutego 1943 r. duże liczebnie bojówki UPA i OUN oraz zaagitowane grupy Ukraińców spoza struktur nacjonalistycznych napadały na czysto polskie wiejskie osiedla i Polaków żyjących w ukraińskich wsiach, mordując wszystkich, których udało się osiągnąć – od niemowląt po sędziwych starców (popularne wówczas hasło nacjonalistów ukraińskich głosiło: *wyriżemo wsich lachiw do odnoho, od małoho do staroho* – wyrzniemy wszystkich Polaków do jednego, od małego do starego). Pierwszą całkowicie wymordowaną 9 lutego 1943 r. polską miejscowością była Parośla w powiecie sarneńskim. Następne podobne mordy rozprzestrzeniały się na terenie północno-wschodniego Wołynia w powiatach kostopolskim i sarneńskim, wiosną ogarniały kolejne powiaty: krzemieniecki, łucki, dubieński, zdołbunowski. Do końca pierwszego półrocza masowe mordy były dokonywane w 7 z 11 powiatów. W lipcu i sierpniu 1943 r. rzezie ukraińskie na ogromną skalę miały miejsce w powiatach włodzimierskim, horochowskim, lubomelskim, kowelskim oraz rówieńskim. Napady z niewielką liczbą zamordowanych były kontynuowane na całym Wołyniu aż do wkroczenia Armii Czerwonej i opanowania terenu przez NKWD.

Przebieg zaplanowanej depolonizacji był bezwzględny i bestialski. Powszechnie nad ofiarami znęcano się, stosując barbarzyńskie tortury. Zabijano głównie przy pomocy wszelkiego typu narzędzi gospodarskich (siekier, wideł, kos, młotków itp.). Ruchome mienie ludności polskiej rabowano, a gospodarstwa palono. Ofiarą stała się głównie ludność wiejska, bowiem w miastach obecność załóg niemieckich powstrzymywała od napadów, zagrożone były tylko przedmieścia. **Z powodu narodowościowego motywu zabójstw, zbrodnie OUN-UPA kwalifikuje się jako zbrodnie ludobójstwa, określając specjalnie ze względu na okrucieństwa jako *genocidium atrox*, czyli ludobójstwo barbarzyńskie, dzikie, straszne.**

Ludność polska w różny sposób starała się uchronić życie. Najpowszechniejsze były ucieczki do miast, skąd albo Niemcy zabierali uchodźców na roboty do Rzeszy, albo uciekali oni po pewnym czasie do Generalnego Gubernatorstwa – na tereny obecnej Polski. Sytuacja uchodźców była tragiczna – brak środków do życia, głód, brak odzieży, bezdomność i choroby, przeludnienie w miejscach zatrzymania się. Część ludności, nie widząc możliwości przeżycia w nowym miejscu, usiłowała przetrwać w swych

miejscowościach. Uważając, że najgroźniejsze są noce, ukrywano się całymi rodzinami poza domem – w polach, zagajnikach, lesie, ogrodach, i czuwano. Gdy napady następowały w dzień, przenoszono się do miejscowości, gdzie zorganizowano samoobronę. Najwcześniej punkty samoobrony powstały na północno-wschodnim Wołyniu, po zagładzie Parośli. Z powodu niedostatku broni i amunicji najczęściej samoobrony te polegały na wartach i patrolach, które miały ostrzec przed zbliżającymi się bojówkami OUN-UPA i ewentualnie, stawiając opór przy użyciu broni, umożliwić ludności ucieczkę. Posiadanie broni było przez Niemców karane śmiercią, toteż używanie jej również stanowiło ryzyko narażenia się na represje okupanta. Większość tego typu samoobron trwało krótko – albo same likwidowały się i wraz z ludnością ewakuowały się do miast, albo ulegały rozbięciu przez przeważające siły OUN i UPA.

Samoobrony w Rafałówce oraz w sąsiedniej wsi Przebraże powstały stosunkowo wcześniej, w marcu 1943 r., tworząc wspólnie silną bazę obronną, do której z czasem włączono także kilka kolonii najbliższej położonych Przebraża. Były to samoobrony wyjątkowe. Pomimo nieustannego zagrożenia zdołały nie tylko obronić własną ludność, ale i zapewnić bezpieczeństwo ludności polskiej z okolicy, uciekającej przed UPA, i utrzymać obóz uchodźczy aż do przybycia Armii Czerwonej w lutym 1944 r. Oprócz staczanych nieustannie potyczek i dwu zwycięskich bitew z UPA, dokonano kilku prewencyjnych wypadów na zgrupowania UPA, mających na celu niedopuszczenie do napaści na bazę samoobrony. Na nielegalnie posiadaną broń samoobrona miała „usprawiedliwienie” w postaci kilkunastu karabinów uzyskanych od Niemców. Niemcy, w tym czasie przegrywając w wojnie z Sowietami i dostrzegając zaangażowanie samoobron wyłącznie w starcia z UPA, tolerowali działania Przebraża i jej placówek. Od sierpnia do początków listopada 1943 r. samoobrona była wspierana przez partyzancki oddział Armii Krajowej ppor. Jana Rerutki „Drzazgi”. W najgroźniejszym starciu z UPA 31 sierpnia 1943 r. pomocy polskiej samoobronie udzielił sowiecki oddział partyzancki płk. Nikołaja Prokopiuka, który jednak później, 6 listopada 1943 r., zamordował ppor. „Drzazgę”. Operowanie w okolicy partyzantki sowieckiej do pewnego stopnia ograniczało aktywność upowskich oddziałów, co poprawiało z kolei bezpieczeństwo Przebraża. Z tych względów placówki samoobrony, jak Rafałówka, współpracowały z partyzantką sowiecką, głównie pomagając sowietom w orientacji w terenie. Skomplikowaną przymusową sytuację Polaków i konieczność lawirowania pomiędzy różnymi zagrożeniami (ze strony Niemców, Ukraińców i sowietów) oddał doskonale w swych wspomnieniach dowódca placówki samoobrony w Rafałówce Apolinary Oliwa.

Poza bezpieczeństwem samoobrony Przebraże-Rafałówka i pozostałe placówki musiały zapewnić byt swoim stałym mieszkańcom oraz kilku tysiącom uchodźców w obozie. Warunki życia były tam bardzo ciężkie z powodu przeludnienia, niedostatku żywności, którą trzeba było zdobywać, prowizorycznych dla większości warunków mieszkaniowych (szałasy, ziemianki, baraki, stodoły, szopy). Długotrwałe znoszenie takich trudności życiowych było możliwe tylko dzięki nadziei, że klęska Niemiec zmieni całkowicie położenie Polaków.

Wojska sowieckie pojawiły się w okolicy Przebraża 2 lutego 1944 r. i wkrótce potem rozbroiły samoobronę, a niektórych członków samoobrony nawet aresztowano. Nowe władze ogłosiły mobilizację mężczyzn i większość młodych ludzi musiała wstąpić, jak Apolinary Oliwa, do I Armii Wojska Polskiego. Przystąpiono też intensywnie do zwalczania nacjonalistów ukraińskich. Ocaleli Polacy zostali objęci ekspatriacją – wszyscy z okolic Przebraża wyjechali w 1945 r. do Polski w nowych granicach.

Ewa Siemaszko

Rozdział I

Urodziłem się w otoczonej rozległymi lasami wsi Rafałówce na Wołyniu. Była to wieś rodzinna także i w tym znaczeniu, że zamieszkiwało ją w zasadzie kilka silnie „rozgałęzionych” rodzin, wśród nich i rodzina Oliwów, osiadła tu od dawna.

Około dwieście lat wcześniej teren późniejszej Rafałówki był częścią majątku rodziny Zielińskich, graniczącego z posiadłością hrabiów Jezierskich. Jeszcze na długo przed I wojną światową hrabia Zieliński sprzedał swój majątek niejakiemu Drzewieckiemu. Jak głosiły miejscowe przekazy, w majątku Drzewieckiego podjął pracę Rafał Rosiński – protoplasta Rafałówki. Jako zapłatę otrzymał ów Rosiński od pana Drzewieckiego parę dziesięcin ziemi, a ściślej – lasu. Rafał Rosiński częściowo wykarczował las, pobudował się i zaczął gospodarować. Był dobrym myśliwym, więc i nadal przydawał się panu Drzewieckiemu. Majątek przeszedł następnie w posiadanie Ukraińca, Łysianego, który z kolei zbył się jego połowy na rzecz pana Jurca.

Z biegiem czasu rodzina Rosińskiego rozrosła się, tworząc jakby małą wioskę. Niemal równocześnie z Rosińskim zezwolenie na karczowanie lasu otrzymał Piotr Oliwa. Oliwa wiedział, że najlepsza ziemia jest tam, gdzie rosną brzozy i dęby, wybrał więc sobie pod karczowanie las brzozowy. Dodatkowo utrzymywał się z hodowli bydła i pszczoł oraz z myślistwa.

Piotr Oliwa miał dwóch synów – Jana i Floriana. Z kolei Florian miał sześciu synów i dwie córki, Jan zaś 4 synów i 6 córek. Miejsce osiedlenia się Piotra nazwano Brzozowym Grodem. Między osadą Piotra Oliwy i Rafała Rosińskiego rozciągał się las (ok. 3 km). Obie rodziny żyły zgodnie, świadcząc sobie sąsiedzka pomoc i zakładając między sobą nowe rodziny.

W trzeciej osadzie zamieszkiwały rodziny Kownackich, Zalewskich, Morozów, Sawickich i Mazurkiewiczów. Od przydomku Kazimierza Sawickiego – „Chaita”, osadę zwano Chaitówką. Ponieważ pierwszym osadnikiem był Rafał Rosiński – cała wieś ostatecznie przyjęła nazwę Rafałówka, na zawsze już zachowując trójdzielny kształt listka koniczyny (trzy osady rozdzielone lasem).

Ustawiczne powiększanie się rodzin przy jednoczesnym braku możliwości dalszego nabywania ziemi w okolicy powodowało, że mieszkańcy częściowo musieli utrzymywać się z dodatkowych zajęć – przy wyrębie lasu lub w tartaku, z myślistwa i rybołówstwa. Na kilka lat przed II woj-

ną nastąpiła komasacja gruntów Jurca, które z powodu zadłużeń przeszły na skarb państwa. Wówczas to stało się możliwe dalsze nabycie ziemi, po przystępnych zresztą cenach 100–150 zł za hektar i w ten sposób każdy z mieszkańców kupił ok. 10 ha. Uprzednio gospodarstwa liczyły średnio 1–2 ha. W roku 1939 Rafałówka liczyła 52 gospodarstwa i niemal w każdym gospodarstwie mieszkało kilka rodzin, przeważnie w dwuizbowych domach. Na krótko przed wojną zaczęto budować bardziej wygodne domy, lecz wojna przekreśliła wszystko.

Wraz z sześciorgiem rodzeństwa, które przyszło na świat po mnie, otwieraliśmy wszyscy „dzioby”, nie zdając sobie sprawy z tego, że niekiedy po prostu nie było czym zaspokoić naszych apetytów. Kiedy podrośłem na tyle, by móc udźwignąć topór, stawałem u boku ojca przy wyrębie lasu. Machałem toporem z taką siłą i z takim zapałem, że gdy nie trafiałem w pień – omal nie „leciałem” za toporem. Ojciec uśmiechał się wtedy pod wąsem, rad pewnie nie tyle z mojej „siły”, co dobrych chęci. W miarę przybywania sił i umiejętności stawałem się jednak równorzędnym partnerem ojca. Zrąbane drzewa obcinaliśmy z konarów i tak przygotowane kłocę zwoziliśmy na składowisko.

Nie była to praca lekka, ale przynosiła mi dużo zadowolenia, zwłaszcza dlatego, że ojciec zabierał ze sobą fuzję. Często bowiem trafiał się lis albo zajęć, trudno więc było zrezygnować z przyjemności polowania. Patrzyłem z zazdrością, jak ojciec mierzy, strzela i trafia. Gdy którejś niedzieli zabrał mnie na prawdziwe polowanie (miałem wówczas 14 lat) i pozwolił mi wziąć do ręki dubeltówkę – zrozumiałem, że muszę udowodnić moją myśliwską dojrzałość.

Usiedliśmy na drzewie i czekamy. Kilkunastu innych myśliwych zajęło podobne stanowiska, a dzików – jak na złość – ani śladu. Po wielogodzinnym czekaniu dało się słyszeć charakterystyczne chrząkanie. Skurczyłem się jeszcze bardziej i w ogromnym napięciu wbiłem wzrok w poranną szarówkę. Naraz ujrzałem duże stado dzików, jak powoli i ostrożnie wysuwa się z ciemności lasu na jaśniejsze pole, znacząc swój ruch gęstą plamą cienia. Posypały się pierwsze strzały. Nie wiedząc nawet kiedy, zdecydowałem się wypalić do tęgiego odyńca, który akurat nawinął mi się pod lufę. W chwilę potem wszystko zniknęło, lecz – miałem szczęście! Mój odyniec pozostał na polu. Upojony radością, zeskoczyłem czym prędzej z drzewa i, nie myśląc o wskazanej w takich wypadkach ostrożności, pobiegłem do dzika. Zbiegli się także pozostali i nuż mnie chwalić. Zostałem „królem” tego polowania i nie muszę opisywać, jak wielka rozpierała mnie duma. Od tamtej chwili coraz trudniej też było ojcu odmawiać mi strzelby, a że nor-

malną koleją rzeczy zamiłowanie do polowań przechodziło z ojca na syna, z czasem widziałem u ojca zadowolenie, a nawet dumę z mojego zamiłowania i nie mniejszych postępów.

W roku 1933 zostałem powołany do wojska i służyłem w 13 Pułku Artylerii Lekkiej w Równem. Tam ukończyłem szkołę podoficerską i po osiemnastu miesiącach służby, mając stopień kaprała, wróciłem do domu.

Życie jak gdyby zaczęło się od nowa. Znowu zwoziliśmy kloce i tarcicę z lasów hrabiego Jezierskiego, polując przy tym od czasu do czasu. Szczególnie jedno z takich polowań utkwiło mi w pamięci. Zimową porą, jadąc z bratem Adamem do lasu, zauważyłem któregoś dnia trop wilka. Było to dla mnie zaskoczeniem, ponieważ wilk w tych okolicach był niezwykle rzadkością. Niezwłocznie powiadomiłem hrabiego Jezierskiego. Z tego, jaki „szum” w swoim majątku wywołał przy tej okazji hrabia, zorientowałem się, że i dla niego wilk nie był częstym celem. Podniecony hrabia natychmiast kazał nadleśniczemu Dziewiątkowiczowi zebrać kilku gajowych, by z nich zmontować nagonkę. Nadleśniczy przyprowadził sześciu gajowych, a między nimi mojego dobrego znajomego – Aleksandra Sewruka.

Hrabia usadowił się na saniach, mnie kazał usiąść obok siebie, gajowi wsiedli na drugie sanie i ruszyliśmy.

– Skąd znasz ślady wilka? – zapytał po chwili hrabia.

– Mój ojciec i dziadek znają się na tym, więc i mnie nauczyli – odpowiedziałem skromnie, zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, na jaką się naraziłem.

Sprawa bowiem nie wyglądała na prostą. Samo upolowanie wilka już jest przedsięwzięciem dość skomplikowanym, a tu zachodziła dodatkowa trudność, by go napędzić wprost pod nos hrabiemu. Znałem jednak zwyczaj wilków, miałem więc nadzieję, że polowanie się uda.

Zwierz zaległ w rejonie dużego bagna zwanego Baranim Ostrowem, porośłego olchowym lasem, łożami i trzciną. Cienki lód nie pozwalał człowiekowi poruszać się po nim bezpiecznie, lecz wilk mógł się tu czuć swobodnie. Trzeba więc było wywabić go z bagna na otwartą przestrzeń.

Byliśmy już około 500 metrów od miotu. Zsiedliśmy z sań:

– No, miot duży, a strzelec jeden. Kto z was skieruje wilka na mnie? – hrabia spojrzał na nas wyczekująco.

Nikt jakoś nie zdradzał ochoty, bo gajowi znali pasję myśliwską i humory hrabiego, który w razie niepowodzenia mógł nawet winowajcę zwolnić z posady.

– A ty, młodzieńcze, co na to? – hrabia zwrócił się bezpośrednio do mnie.

– Skieruję wilka na pana hrabiego – odpowiedziałem, wywołując tym zdziwienie w oczach gajowych.

– No, to prowadź!

Rozejrzałem się uważnie i podprowadziłem hrabiego do głębokiego wąwozu, gdzie dołem biegł wilczy trop. Poradziłem, by stanął za stosem gałęzi. Mimo piętnastostopniowego mrozu było mi gorąco, a i hrabia z podniecenia zapomniał nawet o swoim zakatarzonym nosie, z którego groteskowo sterczały dwa sopolki. Poprosiłem go o zachowanie bezwzględnej ciszy i wróciłem do sań, by wydać dalsze polecenia. Nagonka miała okrążyć las i na dany znak ruszyć do przodu. Obok hrabiego, na uboczu, postawiłem Aleksandra Sewruka.

– Słuchaj, Aleksander, po dwóch strzałach hrabiego strzelaj – powiedziałem mu półgłosem na wypadek, gdyby hrabia spudłował.

Zagrały trąbki. Nagonka ruszyła. Stałem i drżałem z obawy, czy wszystko pójdzie, jak zamierzałem. Minęły ze dwie minuty. Trąbki grają, hrabia zastygł przygotowany do strzału, a wilka ciągle nie ma. Naraz trzasnął lekko lód, posypał się śnieg ze zgiętej łoży. Serce zabiło mi przyspieszonym rytmem. Jest! Szedł wielkimi susami, cały obsypany śniegiem. Prosto na hrabiego. Hrabia czeka. Już go widzi. Mierzy. Strzał. Drugi strzał. Wilk lekko zboczył w stronę Sewruka. Ten mierzy dokładnie. Strzał. Wilk kociołkuje, wstaje, w otwartej paszczy błyszczą potężne kły. Sewruk strzela drugi raz. Wilk zwija się w pół skoku i nieruchomieje na śniegu.

Podeszliśmy z hrabią do wilka. Zbiegli się gajowi. Nadleśniczy już znalazł gałązkę i wetknął hrabiemu za czapkę jako królowi polowania. Hrabia niemal podskakuje z radości i całuje mnie w oba policzki.

Po powrocie do dworu zawieszono wilka na drągach. Hrabia stanął przy nim z dubeltówką, każąc pozować do zdjęcia razem z sobą i mnie. Popstrykały aparaty fotograficzne, potem odbyło się kilka rozmów telefonicznych z Warszawą na temat wyczynu hrabiego, a na koniec urządzono wielkie przyjęcie.

Myślałem właśnie o tym, że straciłem 10 złotych, które mógłbym w tym dniu zarobić w lesie, gdy hrabia zapytał mnie, czy nie chciałbym u niego pracować jako gajowy. Postawił mi bardzo korzystne warunki i kazał namyślić się. Poza tym polecił swemu sekretarzowi wypłacić mi 10 zł za straconą dniówkę oraz dodatkowo 100 zł jako premię za udane polowanie.

Cóż tu było się namyślać. Wielu marzyło o takiej posiadzie. Z radością przyjąłem propozycję. Wiedziałem, że nie mało grosza zarobię na tej posiadzie, no i moje myśliwskie zainteresowania w zupełności łączą się z tą funkcją.

Moje życie potoczyło się nowym trybem. Zanim przydzielono mi leśniczówkę, do pracy dochodziłem z rodzinnej Rafałówki. Rano maszerowałem do lasu, by wieczorem znowu wracać do domu i przypadłej mi od dawna do serca kuzyneczki.

Mijały miesiące. Na wiosnę 1936 roku zdarzyła się atrakcja. W Polsce gościł właśnie nuncjusz papieski i, przy okazji, wraz ze świętą kilkudziesięciu wyższych duchownych z Polski i innych krajów składał wizyty co okazalszym magnatom. W połowie czerwca miał także zawitać do pałacu hrabiego Jezierskiego. Powstał jednak tego rodzaju problem, że hrabia miał tylko jednego człowieka zdolnego do obsługi tak ważnych gości – lokaja Michałka. Należało postarać się jeszcze o kogoś, kto mógłby pomóc Michałkowi. Do obowiązków pomocnika należeć miało odbieranie garderoby i przynoszenie potraw z kuchni, która mieściła się w budynku odległym o około 100 metrów od pałacu. Zbiegiem okoliczności wybór hrabiego padł na mnie. Hrabia wezwał mnie któregoś wieczoru i po dłuższej rozmowie rzekł:

– Nie gniewaj się na mnie, że daję ci taką, może poniżającą funkcję. Wiem, że się żenisz, więc pomyślałem, że przydałoby ci się trochę pieniędzy. A to goście hojni! – zakończył.

– Goście przyjadą i odjadą. Co się mam gniewać? – odparłem zadowolony, że los wychodzi naprzeciw moim potrzebom.

Prawie dwa tygodnie uczył mnie Michałek umiejętności podawania do stołu. W tymże czasie specjalnie sprowadzony z Warszawy krawiec przygotowywał dla mnie galowy ubiór.

Nadszedł oczekiwany dzień. Ubrany w czarny, kelnerski smoking, białą koszulę ze sterczącym, łamanym kołnierzykiem, czarną muszkę i białe rękawiczki, prezentowałem się zapewne wystarczająco godnie, by obsługiwać hrabiowskich gości.

Z daleka widać już było pierwsze samochody. Za chwilę podwórzec wypełnił się gośćmi. Podczas gdy hrabia kolejno ich witał, ja sukcesywnie odbierałem od nich garderobę. Tu „płaszczyk”, tam „laseczkę” lub inny „rekwizyt” i nawet nie spostrzegłem, kiedy kieszeń wypełniła się napiwkami, których, jak się potem okazało, wystarczyło na moje wesele.

W drzwiach salonu już czekał, cały w ukłonach, Michałek. Goście zasiedli do stołu. Stałem w drzwiach, czekając na polecenia Michałka i patrzyłem na stół, który był aż tęczy od różnokolorowych trunków. – Ale żyją! – pomyślałem.

Za chwilę szept Michałka wygonił mnie do kuchni po pierwszą potrawę. Drogę do kuchni pokonywałem, idąc drewnianym pomostem, przerzuconym na wysokości około metra. Jego zadaniem było chronienie ludzi przed pchłami, nanoszonymi przez sforę myśliwskich psów hrabiego, które często wylegiwały się na tym pomoście.

Wracając za którymś razem z wielką tacą pełną ociekających tłuszczem kotlecików, nieopatrznie zawadziłem nogą o któregoś z psów i razem